

Evo Morales, tajna narzeczona i Jezus, czyli jak obalono Lewicę

14 listopada 2019

Zbuntowani policjanci nieśli krzyże z przybitym Jezusem, na znak, że Kościół, który nigdy nie przepadał za prezydentem Moralesem, ich popiera. Syn oligarchy z Santa Cruz de la Sierra, największego i najbogatszego miasta kraju, Luis Fernando Camacho, rasista stojący na czele opozycji, której z amerykańską pomocą udało się obalić prezydenta, wymachuje na przemówieniach „Biblią”. To pozwala odesłać do korzeni obecnej historii, do czasów jedyne w życiu głosowania, które Morales przegrał, choć wydawało się, że Jezus jest po jego stronie.

To było ponad trzy lata temu. W lutym 2016 r. Evo Morales przegrał pierwsze referendum, to, które miało mu zapewnić czwartą kadencję – kandydowanie w wyborach w październiku 2019 r. Boliwijczycy niespodziewanie powiedzieli wtedy „nie”: wystarczy jego rządów, kadencja Moralesa do końca 2019 ma być ostatnia. Oczywiście nikt wtedy nie kwestionował wyników. Ale co się stało, że ludzie tak zagłosowali? Wcześniej Evo zgarnął w wyborach ponad 60 proc.! By pojąć wydarzenia z lutego 2016 r., musimy cofnąć się jeszcze o ponad pół roku, by spojrzeć na słynne zdjęcie prezydenta Boliwii dającego sierp i młot z Jezusem papieżowi Franciszkowi, jezuicie.

Co mówi Jezus?

Prezent nie był przewidziany protokołem, spontaniczny gest nieco zmieszał biskupa Rzymu. Przedmiot wyglądał jak skrótowy manifest teologii wyzwolenia. To zresztą dzieło innego jezuity, o. Luisa Espinala, duchownego, poety i artysty zabitego przez rasistowskie bojówki skrajnej prawicy w 1980 r. Wtedy jeszcze Indianki nie miały prawa wchodzić do biur

administracji, ale samo wypowiedanie takiego pragnienia, w tym przez niektórych duchownych, niepokoiło lokalnych faszystów. Morales był zadowolony z papieskiego przemówienia w Santa Cruz, mieście, które go nienawidzi.

„Człowiek i przyroda są skazani, jeśli kapitał kieruje wyborami ludzi, a chciwość pieniędzy rządzi systemem społeczno-gospodarczym” – powiedział wówczas papież i przeproszał ludy tubylcze Ameryki Łacińskiej za ekscesy Kościoła i dawny, morderczy najazd europejski z krzyżem w dłoni. „Przyznajmy, kazał potem papież, że źle się dzieje, gdy tylu rolników nie ma ziemi, jest tyle rodzin bez dachu, pracowników bez praw, tylu ludzi o zranionej godności. (...) Jezus mówi nam na tym placu: dość! Dość logiki świata, który wszystko zmienia w przedmiot wymiany i konsumpcji, dość tego targowania się o wszystko i odrzucania tych, którzy nie produkują.” Franciszek raczej lubił Moralesa, nawet kiedy ten podnosił przy nim pięść.

Ernesto Fidel!

Odtąd Evo Morales często powołuje się na Franciszka i jego krytykę kapitału. Na początku roku fatalnego referendum prezydent był obsypywany komplementami ekonomistów: wszystko lepiej szło niż w okolicznych państwach neoliberalnych, kraj wychodził z biedy. Evo miał poparcie, uchodził za uczciwego człowieka. Znacjonalizował wydobycie gazu i wygrał: państwo miało środki na przemyślaną redystrybucję bogactw. Indiańskie ludy Keczua, Guarani i Ajmara (lud Moralesa) awansowały społecznie. Rozwinęła się edukacja i tylko reforma rolna nie wyszła, choć chciało jej 80 proc. społeczeństwa. Latyfandyści się nie dali, lecz Morales miał wygraną w referendum w kieszeni.

I oto na dwa tygodnie przed głosowaniem, które okazało się historyczne, prywatna telewizja Activa TV nadała program, który spowodował, że Boliwijczycy zaczęli sobie powtarzać

nazwisko Gabrieli Zapaty, „tajnej kochanki prezydenta”, o 28 lat młodszej. Ten rys na wizerunku człowieka, który dla wielu jest święty, może by i przeszedł, ale wyszło, że w 2013 r. kobieta, choć niewykształcona, weszła do kierownictwa chińskiego przedsiębiorstwa budowlanego, które zdobyło państwowych kontraktów na ponad pół miliarda dolarów... W prywatnych mediach królowały jej zdjęcia w negliżu i luksusie. Rozpoczęła się południowoamerykańska telenovela: scenarzyści wymyślili nawet fałszywie zmarłego syna prezydenta, o imionach Ernesto Fidel, oczywiście. Syn nie istniał, ale wygrana w referendum odpłynęła. Pierwszy raz prezydent Morales przegrał (51,3 proc. przeciw), a jego wiarygodność osłabła.

Niemoralny Morales

Sprawę Gabrieli napompował dziennikarz Carlos Valverde, b. szef boliwijskich służb specjalnych w latach 1989-1993, za prezydenta-neoliberalą Zamory, dziś współpracownik amerykańskiej ambasady. Wykorzystał cichy romans Moralesa z lat 2005-2007 i zbudował na tym historię w znacznej części wyssaną z palca. Sąd Najwyższy obalił potem wynik głosowania, wywodząc, że głosujący nie wzięli pod uwagę, że ich decyzja pozbawia praw obywatelskich (wyborczych) Moralesa, jak i tych, którzy chcieliby na niego głosować: wygrana w poprzednich wyborach nie może wykluczać obywatela z procesu wyborczego. Jean-Claude Juncker, b. szef Komisji Europejskiej rządził dłużej Luksemburgiem, a Angela Merkel Niemcami. Co z tego, gdy dla faszyzującej opozycji, Morales jest nie tylko niemoralny, ale i pcha się do władzy mimo woli ludu.

Lud tymczasem wyraźnie zorientował się, że bez Moralesa może dużo stracić. Wypchnięto go do prawyborów, które wygrywał w cuglach i w tym roku wszystkie sondaże, nawet najbardziej niechętnych sondażowni, wskazywały na bezproblemowe zwycięstwo Evo, mimo postępów konserwatywnego kandydata Carlosa Mesy. Chargé d'affaires amerykańskiej ambasady Peter Brennan (wyższego rangą nie ma, ambasador USA Phillip Goldberg został

persona non grata po pierwszej próbie zamachu stanu przeciw Moralesowi w 2008 r.) był wcześniej dyrektorem od spraw kubańskich w departamencie stanu, a w latach 2005-2007 zajmował się Nikaraguą, gdzie wspomagał anty-sandinistów. To on miał zainspirować Valverde w 2016. I dziś nie był bezczynny.

Stracona rachuba

Od niepodległości w 1825 r. w Boliwii doszło do 161 zamachów stanu, może więcej, historycy polemizują ze sobą. 13 lat społecznego spokoju za rządów Moralesa były jednocześnie latami rewolucji socjalnej, której Boliwia nie zaznała w całej swej historii. Były związkowiec cocaleros – rolników żyjących z krzewów koki (Boliwia, obok Kolumbii i Peru, należy do największych plantatorów na naszej planecie) – który z początku nie znał hiszpańskiego, zmienił kraj do tego stopnia, że pojawiły się hipermarkety, mastodonty na modłę amerykańską. Indianki zjeżdżały z gór, by zobaczyć te cuda i siadać na ziemi piknikując, jakby były u siebie. Dla białych z Santa Cruz de la Sierra był to przykład brudnych, „wielonarodowych” rządów „Indios de mierda”. Morales „El Indio” znalazł się na celowniku Luisa Fernando Camacho, neonazisty z miejscowej oligarchii, znanego rasisty, który nie przestawał przypominać wyniki słynnego referendum, w imię demokracji.

Dwa lata temu powstał cykl fotograficzny „Cholitas”, który był ciekawą obserwacją socjologiczną: pokazywał Indianki, które wraz z rodzinami zeszły z gór na stałe, by znaleźć się w świecie smartfonów i nowej konsumpcji. Cholos tworzyli rodzaj nowej klasy średniej, która chciała jeszcze więcej. Według analizy wielkiego specjalisty od Ameryki Łacińskiej, francuskiego reportera i publicysty Maurice’a Lemoine’a, który dobrze zna Boliwię, części populacji, które wyszły z biedy, nie identyfikowały się już z MAS – socjalistyczną partią Moralesa, a ci, którzy zostali jeszcze na społecznym dnie są rozczarowani. To ułatwiło Amerykanom zamach stanu. Groteskowa

awantura o drugie liczby po przecinku rozpętana przez opozycję zaraz po październikowych wyborach dotyczyła rozstrzygnięcia, czy Morales ma pełne 10 proc. przewagi nad konserwatystą Mesą, który nie przestawał latać do Waszyngtonu, jakby wykupił abonament. Samej przewagi nikt nie kwestionował. Morales łatwo wygrałby drugą turę, gdyby do niej doszło.

Siki i skrajna prawica

Zamach stanu był modelowy, rutynowy, mimo gwałtów, stosunkowo łagodny w tej fazie, co każe niektórym mediom sugerować nawet, że go w ogóle nie było, tak są przywiązane do krwi. Postawa wojska było determinująca, a Evo tak sobie wyjechał. To raczej twardy facet. Zostanie zapamiętany ze swej osobistej historii, nędzy na wsi, braku wykształcenia, które musiał późno nadrabiać i ambicji, żeby ludzie mieli dostęp do lekarzy. Czterej jego bracia zmarli, nie doczekawszy się żadnej pomocy. Leczenie samymi świętymi roślinami i własnymi sikami znajduje dziś zwolenników na Zachodzie, lecz w szerszym, andyjskim zastosowaniu nie zdawało egzaminu. Dziś Boliwia ma system ochrony zdrowia. Papisto-socjalista odniósł tak duży sukces, że najwyraźniej trzeba dystansu, by go ocenić.

Chce teraz wrócić z przymusowej emigracji w Meksyku, lecz wie, że imperium czuwa: jego odyseja była tak chaotyczna, bo Peru i Ekwador zamknęły przestrzeń powietrzną dla meksykańskiego samolotu, który musiał tankować w Paragwaju. „Prezydent Meksyku uratował mi życie” – mówił 60-letni Evo Morales z ginącym uśmiechem. W Santa Cruz triumfuje „Macho Camacho”, „boliwijski Bolsonaro”, policja rozpędza lewicowych manifestantów, a na czele państwa stanęła jego dobra znajoma. Wczoraj ubrany w kamizelkę kuloodporną 40-letni bogacz wrzeszczał na placu w La Paz, że „Pismo Święte musi wrócić do Pałacu Prezydenckiego” i on je tam zanieś, jako prezydent oczywiście. Oryginalny krzyż z Jezusem na sierpie i młocie już się długo nie pokaże, szybciej kraj wybuchnie, a policja wyciągnie coś innego, niż tradycyjne krzyże, jak ostatnio.

Amerykanom poszło łatwo, ale to jeszcze nie koniec.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu